

XXIII

Michał Trusewicz

W tym fragmencie nie ma żywych ludzi.

Pokoik, izdebka, cela prababki, chowającej pod plisowanymi zwojami spódnicy naszą plechową planetę, razem z burakami i miłością pradziadka, o którym nic nie wiem prócz tego, że kiedyś był, ale to też staje się coraz bardziej wątpliwe. Pokoik pachniał solą, zapalkami i wodą święconą. Izdebka wypchana zasuszonymi krakersami, izdebka skropiona pod samym stropem. Cela ciasna, wyrastały z niej drewniane figurki świętych. Szopka. Jezus malusieńki, długość palca rozkazującego, zdzieciniały pantokrator, maluszek-okruszek. Jezus tak malusieńki, że w Wielki Piątek prababcia chowała go w kartonik po krakersach, by nie zakurzył się przez trzy dni wizytacyjnej adoracji. Jezus tak drobnusieńki, że był kropłą w morzu potrzeb, a prababcia potrzebowała więcej miejsca, by równo puchnąć swoją świętą starością. Byli też trzej królowie, wietrzne cugi, wędrujący od zboża do żłoba, chłyutki, delfiny młodociane, dworskie aksamity, wyżłobione twarze, dębowe postronki, poszatutowane koronki, świadkowie koronni cudenka wyrugowanego z chałup, tańczące grdyki. I pastuszkowie, którzy przybili. Pastuszkowie pachną wełną, też taką odłamaną korą. Pastuszkowie w surdutach, w tych wzorkach i szlaczkach, w wydekoltowanych koszulach, ze snopkami światła w oczach. Pastuszkowie nie pachnieli żywicą, ich czerwone ciżemki przestały bić obcasami o blat szafki. I jeszcze była anielica o maryjnych dłoniach, błękitnych jak pigment naskórka hinduskiego boga Wisznu. Anielica z ułamaną nogą, kaleka świta maryjna. Ultramaryna. Szopka nadwodnych terenów, układana po drugiej stronie rzeki. Niebieskie szaty prababci, zarezerwowane dla dworskich repatriacji. Niebieskie kołnierzyki halki. Niebieskie kołnierzyki niższego szczebla. Kołnierzyki kręcące się po babcinym siole. Mówili o opiece, o niewydolności, o przeciwwskazaniach, o nominalach i nominacjach do królestwa niebieskiego. Pusta izdebka, figurki jak samosiejki rozrastają się po krzesłach i kątach. Pokój uziemiony, czyli nabierający barwy czarnoziemiu. Dłonie ultramaryny. Niebieskie dłonie maryjnej anielicy. Odrąbana noga, krzywy stół, dom się chwieje na wietrze. Błękit wsiąka we mnie. Malutkie dłonie błękitu. Błękitniejają knieje. Mdleję.

Indygowiec barwierski. Z liści tego niskiego półkrzewu wydobywa się barwnik indygo, trzeba było zmieszać je z moczem. Bengalscy rolnicy zanurzeni w wiadrach z uryną. Bengalscy rolnicy wymiotujący na niebiesko. Bengalscy rolnicy kaszlący na niebiesko, barwa wsiąka w nasienie. Brytyjscy sahibowie w górze, w błękitcie nieba. Patrzą, jak ruszają się ogromne kadzie z moczem. Błękit pruski, Bhopal, 1984 rok. Armia bawarska bazuje na indygo. Bhopal, izocyjanian metylu. Błękit hamujący czerwień menstruacji. Ludzie zanurzeni w zielony błękit Gangesu ślepną. Błękitny rentgen, płuca przepoczwarzzone. Cyjanotypia oddechu, biała skamielina na niebieskim lodzie. Nerwy jak szron. Włókna promieniują. Kiedyś farbowano twarz urzetem. Błękit akwareli. Błękit gór. Błękit anilinowy, syntetyk, rakotwórczy. Błękit to tęsknota za ciągłością. Błękit to marzenie, że dwie części mogą się połączyć. Błękit to mosty, to zasypywanie wałów. Błękit to próg pokoju. Błękit to wiara w ciągłość. Błękit to niebo i słońce, złączone. Błękit to woda i niebo, przyłączone. Błękit to światło zmierzchu w pokoju, wylączone. Błękit to ropa na wodzie, włączone. Błękit to wiara w ciągłość między rogówką, siatkówką a tęczówką. Błękit to wiara w naoczność, w ogarnięcie czegoś na pierwszy rzut oka. Błękit to obieg wody w przyrodzie, ciągły. Błękit to lód na podeście, rozciągly. Błękit to tęsknota za tym, co bóg i śmierć złączy. Błękit to ruch przestrzeni, ściągnięte zasłony. Błękit to wiara w ciągłość między

hydrosferą, atmosferą i geosferą. Błękit to paralela, symptom. Błękit skonstruowany. Błękitniej knieje.

Po paru latach odkryliśmy, że prababka codziennie malowała dłonie anieli-cy na niebiesko. Pierwotnie były po prostu szare jak karbidówka.

XXII

Chłopcy grali w pchełki, ja ćwiczyłem melodie. Chłopcy stawiali mur przed bramką, ja czyściłem ustnik. Gdy chłopcy kopali się po kostkach, ja wygrywałem majowe kolędy na flecie. Jezus był przecież tak samo malusieńki w zimę i na wiosnę. Pastoralki sylabotoniczne. Blokady spółgłosek na końcu. Grałem jąkającymi się dźwiękami. Tłoczyły się te świsty, te przeboje ze śpiewnika, kotłował puls dźwięków, gęstniały niewidzialne słowa doszyte do postrzępionych melodii. Babcia była zadowolona, gdy witałem słońce kolędą o malusieńkim. Mama ćwiartowała mięso, ja wygrywałem ćwierćnuty świątecznych szant. Ojciec odsypywał gruz z komina, ja wspiałem się na najwyższe rejestry. Siostra zapiszczała, gdy zobaczyła mysz w kotłowni. To był maj, pachniało modrzewiem i komunijnymi wstążkami we włosach. Nawet krew na kolanie miała zapach. Beton i rdza.

W czerwcu nikt mnie już nie zapraszał na boisko, nie musiałem trzeć skóry o skórę. W wakacje nie brakowało bramkarza. Gdy nie było lekcji, składy były pełne. Ja byłem przywiązany do nieczynnego grzejnika, wygrzebywałem się spod frędzli, poilem się wodą, jakbym był wymalowanym ptakiem z sinym brzuszkiem. Nie widziałem ludzi, ale jadłem z ręki rodziców. Kolędy wciąż szumiały. Lulajże już, matulu, strasznie dziś senna jesteś, może położyć się, nie zasypiaj w obierkach, my już sobie dokończymy, a ty już idź. Czerwiec to cisza po dwudziestej i smak mizerii, która zastępowała lemoniadę z reklam. Gdy były wakacje, odkrywałem życia rodziny. Czulem się, jakbym podnosił wieloletni kamień z podwórka. Malutkie żyjątka po raz pierwszy zobaczyły słońce, po raz pierwszy zaistniały w moich oczach. Prosiónek zroszki to ojciec, bo po pracy przestaje mówić, a czasem przecież opowiadał o prosiaczkach dziadka, które kojarzyły mi się z różowymi plamami na ziemi. Mama to wij, bo zna rosyjski i czytała Gogola, a gdy byłem czterolatkiem, mówiła, że gęgam niezdatnymi sylabami. Siostra to skulica obrzeżona, bo często się kulilem pod ścianą, gdy atakowała mnie swoimi żuwaczkami, starszymi o trzy lata, więc posiadającymi już autorytet kulturowy. Babcia, która od zawsze była w żalobie, przypomina mi stonogę murową, bo odkąd zaczęła się garbić, często praży się w cieniu pod murkiem, jakby była samotnym słonecznikiem w pofarbowanych na czarno włosach. Babcię, którą znalazłem na strychu z twarzą w podłodze, porównam do armadillidium vulgare, bo na koniec zwinęła się w siebie, milczała jak skorupa orzecha, a potem rozgniotło je życie. Gdy były wakacje, odkrywałem życia rodziny. Czulem się, jakbym podnosił zimny kamień z koszonego podwórka. Malutkie żyjątka po raz pierwszy mnie zobaczyły, po raz pierwszy zaistniały w moich dłoniach. Pod kamieniem nie było już prababć, pradiadków, wujów, stryjów, prawujów, prapraciotek, praprapradiadkozaurów. Tysiące żyjatek przemieniło się w kostną mączkę, ich chitynowe pancerzyki rozłożyły się, użyźniają piwnice naszego domu, który nagle zaczął się wylaniać ze zdjęć. Pod kamieniem znalazłem dwóch dziadków, jeszcze nierozłożonych, leżących odwołkiem do góry, ich odnóżki zastygły w geście łamanego oplatka, nie doczekały się lata. Dziadkowie nie doczekali się mojego spojrzenia, nie obrosła ich moja pamięć. Dziadek od prosiaczków, dziadzius od busthaltera, dziadunio od strzałów w powietrze, dziaduszek od tego zdjęcia, gdzie on leży, a wszyscy nad nim płaczą, łącznie z babcią, która wybijała się na pierwszy plan, jakby chciała dołączyć do dziaduszka, który pewnie wracał na pastwisko z zamkniętymi oczami. Czerwiec pachniał starymi zdjęciami. Gdy chłopcy kopali się po kostkach, ja chodziłem na groby, by myśleć o tym, że kolejnego dnia rozkopię ziemię, żeby pozwolić im zaistnieć w moich oczach.

No i nastał lipiec, który zwisał prosto ze słońca. Lipiec to uśmiech zawiadowcy, który mignął w oknie stacji. Wtedy był czas pociągów, mokra od potu stal, lokomotywy dyszały i buchały, chuchały ze zmęczenia, były zajęchane jak

parowe muły. Była nas czwórka, stemplowano nas na stacji, taksowano bagażami i świstkami. Przypomniał mi się świst majowych kołęd. Jezus malusienki leżał u stacyjki, na zawsze i na wieczność, uczynimy z życia świętość, tak śpiewał ojciec, gdy po raz pierwszy zaczął przypominać mi dziadunia, którego przecież nigdy nie zobaczyłem na oczy. Stał na korytarzu, mocował się z oknem, przeciskał się przez walizkę i rozpuszczalną kawę na kółkach, uważał na wrzątek, a potem powiedział, że zaraz będzie jezioro, jeszcze trochę. Lulajże już, siostrzyczko, wywieziemy cię na wakacje, tam będziesz przełączała stacje radiowe. Lulajże już, matulu, mizeria i cicha stacyjka końcowa. Motor lokomotywy zgrzał się, prychnął, wyrzucił nas przez drzwi automatyczne. Wyjechaliśmy po to, by ojciec stał się dziadkiem. Wyjechaliśmy po to, by się zestarzeć i powtórzyć się w innym czasie przyszłym. Lipiec pachniał znikaniem ojca na rzecz dziadka, który zmateriałizował się, gdy wywyższalem letnimi kołędami słońce nad matecznikiem krzewów i kanistrów.

W sierpniu ustawiałem się w kolejce po zeszyty do geografii. Stałem obok dziadkojca. Dziadziunio zjadał tatę głoska po głosce, litera po literze. Zdrapywał jego ślady, wydrapywał swoje paznokcie na drzwiach do łazienki w godzinach wieczornych. Ojciec zaczął gubić słowa, gubił ręce, które uderzały bezwładnie o kant stołu, gdy odmawiał kolejnego posiłku. Dziadkojciec pożerał nas wszystkich, był monstrualnym drapieżką, matka coraz częściej gubiła spokój, chowała się w pokoju, bo bała się starości, która używała ojca do haniebnych celów. Dziadkojciec zasypiał w kolejce do łazienki, słuchał powtórek wiadomości, przestał zerkać na krzyżówki, łapał nas za słowa, jakby chciał umieścić je we własnym słowniku. Pod koniec miesiąca wypowiedziałem się z tego, że pomogłem wstać dziadkowi z grobu. Chodziło po prostu o wstanie z łóżka, żebym mógł patrzeć, żeby ktoś mógł zaistnieć w moich oczach. Byłem nekromantą, który odsysa słowa zaklęć. Dostałem rozgrzeszenie, szybko wziąłem je pod język, przelknąłem ciężką karę. Potem się garbiłem, kajałem się pod tabernakulum, mówiłem, że sierpień to miesiąc pastorałkowej miłości, że Jezus malusienki, a przecież taki wyrozumiały, Jezus malusienki, a przecież litościwy, wzdycha na mnie grzesznego wśród stajenki. Grozi paluszkami dziecię boże, którego żłób myliłem z wyschlą korytami rzek śródlądowych. Dzieciątko cierniowe, proszę, wybacz mi, że wywołałem dziadkowego golema, utkanego z zaklęć i marzeń. I tęsknot, to na pewno. Dzieciuszkę rozmiłowany, milorząbku, którego rządy sprawiedliwe i miłosierne, siej miłość swą w nasze kąty drżące w pokorze. Zaułku bogiem zasłany, proszę, przywróć mi tatusia, niech przyplynie rzeczka do rzeczywistości, jakby był po prostu powodzianinem, który zamiast wiosel ma rakiety do badmintona. Bogobojna ozimino, pomachaj mi swą otuliną, oświetl drogę dziadziusiowi, niech wróci do grobu, niech weźmie karmelki w kieszeń na drogę, niech tatuś już wróci, zajedzie czerwonym autkiem, którym woził nas wszystkich na stacyjki z przesiadkami. Sierpień to posadzka. To kolana wygnięcione. To zapach grzechu i śmierci. I życia, którego nie zwrócono w całości.

We wrześniu przestaliśmy grać kołędy, my, pierwsza brygada, strzelecka gromada straceńców pod zimnym kamieniem. Podobno fałszowałem. Za karę musiałem usiąść obok chłopca ze zdartymi kostkami. Pachniał rozkopaną ziemią i wykopaną daleko piłką. Tak wysoko wykopywał tylko ojciec, aż piłka zniknęła w bieli nieba.

XXIII

Brązowe psy bawiły się czekoladowym mikołajem. Odgryzły świętą głowę, zjadły mleczne prezenty i kakaowy płaszcz. Zadowolone rozbiegły się za płotem.

Kiedys poznałem jakiegoś wujka, którego oddech pachniał morzem, śledziami, olejem i smażoną cebulką. Potem zaciągnąłem rodziców nad słoną wodę, która smakowała jak mała frytkownica. Kopałem piłkę, zagrzebywałem się w piasku, wdychałem jodynę prosto z kolan.

Wujek, którego oddech pachniał morzem i śledziami, kiedys podarował mi noworocznego mikołaja. Rozebrałem go ze srebrnego calunu, potem odłamałem

stópki i główkę, dziękując Bogu, że potrafił idealnie namaścić swoich ulubionych świętych. Smakowała mi jego świętość, była mleczna, choć pewnie zawierała śladowe ilości orzechów aramejskich. Szybko zasnąłem, śniłem o arachidowych reniferach, o noskach z pierników, o domach bez kominów i dostępu do wody pitnej.

Nigdy nie jadłem baranka cukrowego, cmentarze pachną krówkami i zlepiionymi ustami. Nad morzem kopalem piłkę, odbijałem ją też dłonią i głową, modląc się, by nie wyleciała poza nasz parawan. Kiedy machały do nas dzieci z wycieczkowego statku pirackiego, pierwszy raz w życiu pomyślałem o śmierci. Z wody wyłonił się biały lodowiec, drewniana chabeta turystyczna rozprysła się na milion drzazg. Na morzu unosiły się wióry i zielone sieci wędkarskie. Widziałem, jak mali chłopcy obijają się o twarde fale jak zaślinione boje. Matki krzyczą, ojcowie dzwonią na policję. Nad wrakiem krążą pszczoły, kłują w otwarte usta, słowa puchną, wszystko jest już bez znaczenia.

XXIV

Szatan usiadł na brzegu łóżka, patrzył na swoje sine paznokcie. Uzbierał pieniądze, by przedostać się aż tutaj, minął sklep i uskok za rogiem. Rozmawiał z kurami, chował psy po kątach, kurzyło się za nim. Szatan siedział na brzegu łóżka, położył mi dłoń na głowie, kupił mi krówki ciągutki. Mój domowy okultyzm smakował karmelem, pachniał jak mgła pod kościołem.

Moja babcia wywoływała duchy nad rzeką, prała halki, wracała przemoczo-
na. Kąpała się w lodowatej wodze, ścierała z siebie brud jutrzenki. Drapieżniki ssaly jej piersi, powoli zarastała wodą, jej ciało było stalowe. Mogła ciąć powietrze, snuła się nad mchem, rozcinała mgłę. Tarła brązowe paznokcie o brzożowe kory, korniki pukaly w jej opuszki. Ktoś, kto taszczył opony do lasu, przyuważyl jej nagie ciało. Przywiązał jej włosy do gałęzi, tarł palcami zapalniczkę, podpałił starą kukłę. Zwołał kolegów. Moja babcia chciała wywołać duchy nad rzeką, ale płonęła przed plastikowymi reklamówkami, hałdą styropianów, oponami od SUV-ów. Oni pluli gumami, ciągnęli ją za ręce, trzask gałęzi. Wróciła do nas rozżarzona, oczy szklily się jak małe węgielki, język smagał jak krzesiwami. Całowaliśmy jej nagą głowę, pucowaliśmy, ścieraliśmy kurz, gdy zasypiała z łyżką w ustach. Nad ranem rozmawiała ze ścianami, po których poruszał się biały cień.

Moja mama swoje demony deptała obcasikami. Czasem one wyrwały się spod kostki, miały swoje gniazdo w rogach przedpokojów. Demonów mamy nie wykrywało USG za pierwszym i drugim razem. Wsasyły się w limfę, żarły ją głodne, spluwały w dół. Przykuwały matkę do ściany, dzwoniła kropłówkami jak wynędziałe widmo, widemko, malutkie bobo, które ktoś umiał niebieskimi powrozami. Parzyło ją słońce, choć wyginała łóżko w stronę okna. Łóżko jak szyja, jak lodyga. Nie miałem dobrej ręki do roślin, szybko cierpiała na nekrozy i neurozy, na białaczki i zgorzele, na dziwotwory i chlorozy. Czerwieniła się, gdy przychodziłem i poprawiałem rękawy. Rumieniła się, gdy chwaliłem, że najdzielniejsza. Wieczorami było pusto, brak ruchu, brak cieni.

Tatko bał się mar. Tego, że jego matka waliła go sztucami prosto w twarz, przykuta do materaca. Łóżko leżało nią. Pokój oddychał jej naczyniami. Od kilku lat nie sprzątała po sobie, ale jej twarz się zmywała. Nie umiałem tego wytłumaczyć, choć dzieliłem z nią ścianę. Czasem śniłem o tym, że ona wstaje z łóżka, przykładła dłoń do ściany, a ja po drugiej stronie przykładam policzki do zimnej od potu tapety. Wtedy się budzę, słyszę tylko rwany oddech ojca, który śni o marach. Na drugi dzień jego matka wypluła rosół, sprzątałem te kurze plamki, myślałem, że w ten sposób tworzy się jakaś żółta galaktyka tłuszczu. Tato bardzo rzadko mówił o tym, co go prześladowuje. Pamiętam dzień, gdy mówił o zakopanym pistolecie. Pamiętam dzień, gdy po raz pierwszy płakał. Pamiętam dzień, gdy jego matka zsunęła się prosto w ręce. Wtedy ona zaczęła wzywać diabła. Po chwili walił w drzwi od piwnicy, śmierdział starą papryką i drożdżówką, wrzucił do plecaka w ostatni dzień wakacji. Wszedł do babci, wszedł w jej usta i oczy. Jego słowa mrowily się od wewnątrz, poruszał jej poziomą syntaktyką,

dławił ją księżyc, pełnia znaczeń, ustawił do pionu. Po kilku latach babcia nagle wstała, wytarła okno, a po godzinie schowano ją w folię aluminiową, gotową do podpalenia jak małego ziemniaczka w czasach wielkiego głodu. Tato bał się mar i powrotów tego, co już było i nie miało prawa powstać do żywych.

Szatan usiadł na brzegu łóżka, mówię mu o tym, czego się boję. On mnie pociesza, kładzie dłoń na moich udach. Kładę się na jego kolanach, on uderza mnie linijką prosto w pośladki. Czerwienieją ze wstydu, że w ogóle pomyślałem o tym, by się bać czegośkolwiek. Wstyd mnie dławiał, gdy klękałem pod krzyżem. Krzyżem przebarwień i śladów po słońcu. Krzychałem Abba, tatusiu, wołałem Absalomie, a salowe gdzie, Absalomie. Leżałem krzyżem i wyplakiwałem tatusia prosto z szeroko otwartych ust.

XXV

Przegryzłem wykalaczkę. Krew wylała się na obrus. Parę kropel. Święt nie będzie. Zepsuł się piekarnik. Jezus wyszedł z ziemi po paru dniach, wstąpił w bramę i za sprawą mowy zależnej opowiedział o nieznanym wyrokach boskich.

Twarz mi puchnie, staje się słonowata. Zaczynam rozmawiać z drugim, napuchniętym, obliczem. Ta narośli szybko zdobywa własny język. Bulgocze bagnistą mową duchów, deformowaną przez cholesterol i tarczę. Jesteśmy wciśnięci w ciasną skórę, jesteśmy obciążnięci lśniącym lateksem.

Słońce przyrasta do okna od kilku dni. Jesteśmy już parą, z narośli wyskoczyły bambusowe pędy ud. Trzymam na nich dłoń, gdy mi smutno lub źle. Krzychał na mnie. Kiedyś uderzył mnie w twarz, jak jadłem płatki cynamonowe. Zakrztusiłem się. Zapaskudziłem mu nogawkę wyprasowanych spodni. Kazał mi to zjeść. Jadłem mleko z jego bawelnianych nóg. To było pyszne śniadanie. Powtarzałem to też w porze wieczornego karmienia. Zasypialiśmy razem. Noga w nodze. Policzek przy policzku.

Któregoś dnia razem ze szpikiem wyssał moje imię i nazwisko. Już nie mogę przemówić własnym językiem. Jestem jego dzieciątkiem niebożym. Wszedł w moje dotychczasowe posiadanie, święte obcowanie. Czasem jeszcze ocieram się o jego policzki, by poczuć, jak pulsuje mój były język. Stałem się wymarszczoną skórą, lateksem rzuconym na fotel. Czuję na sobie słońce, cień zasłon. Osiada na mnie kurz, zalega na moich pustych płucach, sflaczałych jak piłka po mundialu.

Kiedyś się zbuntuję i zacisnę stalową klamerkę na jego języku. Rozsiądę się w fotelu, będę patrzeć, jak on wije się jak lamentująca Matka Boska. Nacieram jego plecy czosnkiem, okazują krótkotrwałą litość. Potem wysyłam go za granicę, by zrywał porzeczeki przez cały rok. Gdy zbliża się do drzwi, pęka napięta skóra. Jesteśmy już osobni. Wykrwawiam się jak przegryzione wargi.

XXVI

W sprawach beznadziejnych zaleca się odmówić modlitwę litanijną do serca archanioła krwawnika.

Ostoję rozległych sadów owocowych. Wybaw nas. Tryskająca energia pięcioletniego syna, którego nie miałem. Wybaw nas. Spichlerzu mylony z bazyliką. Wybaw nas. Krwionośny kamieniu nieprzystawalności. Wybaw nas. Czerwony swetrze z przeceny wiosennej. Wybaw nas. Psia główko wciśnięta w jaszczurową jamę. Wybaw nas. Krzesło bijącym po piszczelach. Wybaw nas. Flaszko syropu przyspawana do blatu. Wybaw nas. Zadatku pod remont łazienki. Wybaw nas. Skórzana zawalidrogo. Wybaw nas. Brzemienna w skutkach. Wybaw nas. Rozbłąkańca gumowy. Wybaw nas. Habcie uwodzający. Wybaw nas.

Wszzechmożliwy archaniele w tiarze i triadzie prawdziwy, z welny powłóczystej i skrwawionej zrodzony, tyś nas namaścił żelowym głosem twojej poezji, cośmy ją na mannę wieczorem wymienili, gdy nie było już nic po piwnicach schowanego. Wszzechmożliwy archaniele w tiarze i triadzie prawdziwy,

z wełny powłóczystej i skrwawionej zrodzony, tyś nas dotknął swym gumowym palcem prosto w pępuszek, cośmy go z kosmosem pomylili i wkładali tam wielkie lunety, gdy nie było już żadnej belki pod naszymi powiekami. Wszechmożliwy archaniele w tiarze i triadzie prawdziwy, z wełny powłóczystej i skrwawionej zrodzony, tyś nas wybrał swoimi dziećmi, byśmy już nie sypiali ze sobą w szóstkę po bidulach metafizycznych, co ze stajnią pełną much i gnoju pomyłone. Wszechmożliwy archaniele w tiarze i triadzie prawdziwy, z wełny powłóczystej i skrwawionej zrodzony, tyś nas przytulił pod swoją paszką, co nas klęła prosto w oczy, gdy już nie było niczego do patrzenia. Wszechmożliwy archaniele w tiarze i triadzie prawdziwy, z wełny powłóczystej i skrwawionej zrodzony, tyś nas tykał patykami, gdyśmy klębili się pod domem, pełni głów wykupionych i palców przegrzebanych. Wszechmożliwy archaniele w tiarze i triadzie prawdziwy, z wełny powłóczystej i skrwawionej zrodzony, tyś narobił nas, dzieciulków wylekniałych w malignie duchowej, setki i tysiące, byśmy z manną piachu braćmi i siostrami. Wszechmożliwy archaniele w tiarze i triadzie prawdziwy, z wełny powłóczystej i skrwawionej zrodzony, tyś nasze matki obdarzył ciężarem, a ojców lekkością, co wyfruwały z pamięci jak dmuchawce i latawce na wietrze. Wszechmożliwy archaniele w tiarze i triadzie prawdziwy, z wełny powłóczystej i skrwawionej zrodzony, tyś nasze babki do ścian przykuł, jak zaśniedziałe monety przykleja się do klastrow. Wszechmożliwy archaniele w tiarze i triadzie prawdziwy, z wełny powłóczystej i skrwawionej zrodzony, tyś naszych dziadków po lasach pochował, byśmy razem z grzybniami purchawek wrywali dziadygów zagubionych za ich słoniowate i nastroszone uszy. Wszechmożliwy archaniele w tiarze i triadzie prawdziwy, z wełny powłóczystej i skrwawionej zrodzony, tyś nasze żony zeźlił i upuścił w eterze czyścowym, byśmy już nigdy nie skakali po łóżkach jak ogromne wiewiory z kitami macającymi gałęzie drzewnych mlódek. Wszechmożliwy archaniele w tiarze i triadzie prawdziwy, z wełny powłóczystej i skrwawionej zrodzony, tyś nasz język w bursztynowym słoju zatrzasnął, by się zatrzymał w niemym przerażeniu i krzyczał przez wieki wieków, amen.